ROZMAITOŚCI.

Dnia 30. Kwietnia **Ner 18.** **Roku 184?.**

JEDEN DZIEŃ Z ŻYCIA

OLIVIERA KROMVELA.

(Dokończenie.)

4.

Te same mury Whitehallu, o które się obiły ostatnie westchnienia idącego na rusztowanie króla, zamieszkiwał teraz mąż, który zbroczywszy się krwią Karola pierwszego, prawa korony posiadał bezkarnie. Do lat 42 wieku swego nie obeznany z bronią — a bronią dobił się jedyno-władztwa; polubieniec ślepego losu, z cichego niegdyś kandydata teologii, dziś protektor dumnego Albionu, słowem Olivier Kromvel, przez przyjaciół sławiony bohatérem, od przeciwników potępiony jako republikański przywłaszczyciel, nie znający cnoty; od bezstronnych nazwany tyranem, ale tyranem w zbrodniach nie zagrzęzłym.

Ktokolwiek powiódł uważnem okiem w koło tych murów posępnych, nie mógł nie dostrzédz, że się do nich wraz z nowémi mieszkańcami wcisnęło niepokojące widmo bojaźni. Bram strzeże nieustannie oddział dragonów, i zbrojna siła dobranych 2,000 pieszych i tysiąca jezdców, gotowych w każdym czasie odeprzéć napad na Whitehall. Wewnątrz dziedzińca do pięciudziesiąt rozstawionéj straży. Każde okno, każde drzwi od zbrojnych ludzi strzeżone, cały zamek podobniejszy raczéj do warowni, gotowéj do odparcia nadchodzącego nieprzyjaciela, niżeli do mieszkania piérwszego urzędnika w cywilizowanym narodzie. Z tym wojennym obrazem łączy się tajemnicza cichość, przerywana jedynie chrzęstem broni, snujących się w różnych kierunkach patrolów, bo pod najsurowszą karą było zakazano, wdawać się w ciągu służby w rozmowę z cywilną osobą. Kiedy tą zbytnią ostrożnością Olivier Kromvel zdradza się, że władzę swoją winien jest nie miłości tych, którzy mu są posłuszni, wewnętrzne także urządzenie jego domu, objawia tę samą niespokojność, która wszystkie rozkosze jego serca zatruwa. Niewątpliwe dowody przywiązania, odbiéra codziennie od wszystkich członków swojéj rodziny, melancholijny umysł jego skłania się do rodzinnych uczuć, a przecie ten duch, który się w bitwach nigdy nie uląkł, lęka się okazać komukolwiek zaufanie, zdolne wzajemną wzbudzić ufność. Ani żona, ani żadne z dzieci nie wiedzą w którym pokoju noc bezsenną przepędza. Wszelkie pożywienie każe wprzód podawcy skosztować, i prócz synów, zięcia Fleetwood, szwagra Desborow, nikt nie śmié z bronią wejść do niego, nawet ani oficerowie wojska, ani deputowani, ani posłowie zagranicznych mocarstw. Podejrzliwość jego do tego doszła stopnia, że w twarzy osób, z którémi rozmawiał, chciał niezawodnie czytać, co myślą o nim. Ta trawiąca go niespokojność urąga się z blasku, który go otacza, i jest mu męczarnią sroższą, niż najboleśniejsza śmierć, jakiéj się mógł obawiać.

5.

Kromvel był po obiedzie. Więcéj niż kiedy zasępiony, udał się do pokoju, w którym zwykł pracować.

Patrząc na pochmurnego, milczącego człowieka, z osiwiałą głową, z zasępioną źrenicą, niktby nie zgadł, że widzi gwałtownego reformatora Kromvela. Ale bliższa na czynach oparta uwaga, niewątpliwie go poznać

dawała. Tę niepokaźną, wątłą postać ożywiał duch śmiały i silny; te wyżółkłe lica nieraz gorzały ogniem, zgubnym dla tych, co go podniecili. Na tém oziębłém, lodowatém czole, widno było piętno okrucieństwa, którego zachwiać nie mógł żaden głos ludzki, czyto z głębi piersi ostatnia rozpacz go wydała, czy téż był hasłem straszliwéj zemsty nieprzyjaciół. — W téj chwili stojący przed nim major Holms, doznawał jego gniewu.

Ciężkiéj służby domowéj nie polubiło żołdactwo; rozwięzła swawola ostatniéj wyprawy jeszcze mu tkwiła w pamięci. Odważyło się więc prosić na piśmie o zniesienie niektórych form uciążliwych, a ulubiony adjutant Kromvela podjął się wręczyć mu to pismo.

Ale major źle wybrał chwilę. Za każdym wierszém, który protektor okiem przebiegał, groźniéj marszczyło się mu czoło, nakoniec zawołał szarpiąc papiér ze złości:

»U sta katów! do mnie tak przemawiają! Powiédz majorze, czy znałeś ty treść tego bezwstydnego pisma? — a jeźliś ją znał, jak śmiałeś je mnie wręczyć? — Oto moja odpowiedź!« i nogą odpchnął podarty na kawałki papiér, — »a tego, co pisał tę prośbę, zaraz pod wartę! Czy słyszałeś?!«

»Milordzie«, odpowiedział Holms z namiętném jego postępowaniem oswojony, »uważ, że żołniérz takiéj odpowiedzi nie zniesie, mogłaby złe sprawić wrażenie na wojsku, a jeźli zastanowić się raczysz, iż ciebie przychylność wojska wyniosła, odpowiedź łagodniejsza zaledwie łaską ci się wyda.«

Olivier powstał i wskazując na swoją szpadę, rzekł z dumą despoty: »Sir, ta mnie zrobiła, czém jestem, i ta mnie spodziéwam się, utrzyma.«

Przeszedłszy się żywo po pokoju, kiwnął na majora, który zasmucony chciał odéjść. Już gniewu protektora śladu nie było. Umiejący nad sobą panować; zawołał żartobliwie na majora: »Holms, coś dzisiaj prędzéj niż zwykle uchodzisz mi z pola?.... Zostań Sir«, dodał surowiéj: »Mam jeszcze z tobą rozmówić się; co tam nowego?«

»Nic ważnego milordzie, tylko butni panicze w City coraz smutniejsze pokazują twarze. Nakazana cichość w dni święta i postu, i wasze przepisy strojów, nie przypadają im do smaku.«

»Ha! spodziéwałem się, że im tém najdotkliwiéj dokuczę? Niech całe moje postępowanie będzie chwalebne, tego mi nie wybaczą, że im w błazeńskiéj postaci biegać po ulicy nie dopuszczam.«

Tu lekkie stuknienie we drzwi przerwało rozmowę. Olivier przelękniony wzdrygnął się, a po chwili zawołał:

»Ktoż nam przerywa?... Obacz Holms...«

Major podług rozkazu wyszedł, a protektor na palcach zbliżył się do drzwi i przez ukryty w nich otwór zaglądał, co się dzieje. Potém śpiesznie z równą ostrożnością wrócił ode drzwi, a w téj chwili wszedł znowu major, widocznie zmiészany.

»Milordzie, porucznik Smith wrócił z Dowru, według polecenia uwięził Sir Ryszarda z dwoma damami i kawalerem, i czeka na dalsze rozkazy.«

»Holms, czybyś uwierzył, że mój syn dla miłostek zapomina ojca i swojéj przyszłości. Szczęściem, dowiedziałem się wcześnie, a szalona panienka odpokutuje, jeźli ona była powodem do kary-godnéj ucieczki Ryszarda. Ale dla czegoż porucznik nie zaprowadził ich prosto do więzienia towerskiego?«

»Milordzie, to śmiészna powiedzieć, ale...«

»Ale?... Holms, nie lubię tego słowa. Proszę bez ogródki...«

»Milordzie, mis Frańciszka przez umyślnego skłoniła porucznika, tu ich przyprowadzić.«

»Moja córka?! Poszléj tego szaleńca do domu obłąkanych, kiedy mógł zapomnieć, kogo ma słuchać! Więc Frańciszka?... Dziwna zuchwałość. Radbym, żeby mój syn Ryszard posiadał część śmiałości swojéj siostry. Lecz pójdź, chcę obaczyć więźniów.«

»Wtedy zechciéj milordzie odwidzić mis Frańciszkę.«

»Holms, to do prawdy zabawnie. Mis Frańciszka przyjmuje moich więźniów stanu; ale idźmy, idźmy, tęskno mi za córką.«

Po tych słowach, które dziwnie odbijały od jego zwykłéj surowości, nie cierpiącéj oporu, szedł spiesznie przez długie kurytarze do mieszkania ulubionéj córki.

Jakiż go widok uderzył, gdy ostrożnie drzwi otwiéra?

W głębokiém wzruszeniu, ze zroszonémi oczyma widzi Frańciszkę; milady Sidnej i jéj córka, nalégają na nią usilnémi prośbami, u nóg zaś leżący młodzieniec, z uniesieniem opisuje nieszczęścia przez te dwie panie doznane, a ich smutne położenie nie mogło wymowniejszego znaleźć obrońcy. Chwilę stał Olivier słuchając opowiadania, które się dla tego mu podobało, że w niém opowiadający unikał wszystkiego, co go obrazić mogło. Wtedy dopiéro dał się postrzédz obcym osobom.

Wykrzyk śmiertelnéj bojaźni wydały obce niewiasty. Frańciszka niezlękniona rzekła do klęczącego: »Podnieście się rycérzu! niech was widzę w postawie, jaka mężom przystoi. Milordzie«, mówiła daléj, obróciwszy się do ojca, »przedstawiam wam nieszczęśliwą rodzinę, która ma prawo domagać się, abym się za nią wstawiła, gdyż ma związki krwi z osobami, które do moich przyjaciół liczę. Myślę, że nie zbłądzę, gdy ją waszéj łasce polecę.—To jest milady Sidnej, to mis Editha, a to — mój ojciec milord protektor.«

Nisko pokłoniły się osoby przedstawione, śledząc razem trwożliwie na jego twarzy, jakie wrażenie uczyniły słowa córki.

Czy skutkiem zmiennego humoru protektora, w którym czasami bywał spaniałym, czy przez dumę rodzicielską, któréj pochlébiały hołdy jego córce składane, czy wpływem téj powagi, jaką Frańciszka jedna z dzieci, miała nad jego umysłem, protektor przytłumiając w sobie nienawiść do całego domu Stuartów powziętą, przemówił łagodnie:

»Witam was, lady Sidnej w moim domu, choć was nie miły przypadek doń sprowadził. Ubolééwam nad waszym losem, ale są położenia, które trzeba raczéj przypisać swojemu przeznaczeniu, niż tym, którym jego wykonanie zostało poruczone. To wasza córka?«

»Tak milordzie protektorze.«

»A ten młodzieniec?«

»Sir Arthur Jerningham, jéj narzeczony.«

Na te słowa czoło Oliviera zupełnie się wypogodziło. — »Rycérzu! dla krewnego waszego, szlachetnego wice-hrabi Falconbridge, który jest wierną obroną naszéj sprawy, przebaczam wam wycieczkę do Szkocyi.«

Teraz wzrok Kromvela padł na syna, który w milczeniu stał za drugimi.

»Ach, co widzę? Sir Ryszard«, zawołał z uprzejmością, jak gdyby nic między nimi nie zaszło, i lekki uśmiéch szyderczy przebiégł po jego ustach. »Ten młodzieniec winien wam wdzięczność, żeście mu tak szczęśliwie przywiedli narzeczonę.«

I znowu podając rękę Frańciszce, obrócił mowę do lady Sidnej: »Co mogę w waszéj sprawie uczynić, wnet się dowiécie. Zechcijcie tymczasem tu się zatrzymać. Sir Ryszardzie! wam poruczam naszych gości.«

Nieznacznie uchylił głowy i wolnym krokiem odszedł do swego pokoju.

Tu rzucając się w krzesło, rzekł: »Frańciszko, kiedyś się raz wmiészała do spraw moich, bądźże teraz moim pisarzem. Weź pióro do ręki.« Gdy ją widział do téj niezwyczajnéj czynności gotową, zaczął dyktować: »Sir Thomlinsonowi dowódcy Toweru.«

»Ojcze!« zawołała bledniejąc dziéwczyna, »dobry ojcze, chceszże srodze odebrać nadzieję tym, którzy ledwie twoją łaską odżyli? Ojcze, jeżeliś zagniewany, na mnie jednę niech spadnie kara, bom ja jedna zawiniła.«

»Mis Frańciszko, nadużywasz mojéj cierpliwości. Czy będziesz pisać?«

»Będę milordzie, ale jedno wprzód powiém: Jeźli ci nieszczęśliwi padną nową ofiarą waszego gniewu, przestańcie wtedy i mnie liczyć do waszych dzieci, bo ja tego nie przeżyję.«

»Czy skończysz raz?« zawołał Olivier z gniewem.

»Jestem gotowa.«

»Pisz więc: Sir Thomlinsonowi dowódcy Toweru. Polécamy wam niniejszém, oddawczynie tego pisma przyzwoicie na noc przyjąć. Postaracie się przytém, aby z nich jedna, mis Editha Sidnej, jeszcze tego wieczora była zaślubioną z kawalerem Arthurem Jerningham. Swiadkami téj czynności będzie mój syn Sir Ryszard i porucznik dragonów Smith, którego do dalszych rozkazów u siebie zatrzymacie. Wydatki na to zaślubienie na mój rachunek zapiszecie, i przygotujecie wszystko, aby lady Sidnej wraz z nowożeńcami jutro tajemnie do Doweru odesłaną została, i zaraz do Kaletu odpłynęła.«

Jasno-włosa dziéwica łkając z radości, rzuca się do nóg protektora. »Dzięki, dzięki serdeczne, dobry ojcze. Twoja łaska przeszła wszelkie nadzieje moje!—Ależ Ryszard«, dodała z-cicha, »Ryszard lęka się twego gniewu. Biédny Ryszard! Prawdaż ojcze? Twoja amnestyja i tego młodego zapaleńca dosięga?«

»Niech i tak będzie, ale pod warunkiem, żeby i siostra jego odtąd nigdy samowolném działaniem nie stawała na zawadzie zamysłóm protektora.«

Powstał, podpisał pismo ułaskawiające, a z wzruszeniem ucałowawszy jego ręce, Frańciszka odeszła.

Kromvel zaś patrzył za odchodzącą razem z dumą i posępném uczuciem, i podając majorowi Holms zapieczętowane pismo, rzekł: »Holms! Gdybym nie był został protektorem Anglii, mógłbym szczęśliwym się nazwać.«

»Milordzie«, odrzekł major, »tysiące błogosławią ten dzień, który w twoje ręce oddał władzę nad ludem Albionu.«

»A krocie«, przemówił z dwu-znacznym uśmiéchem Olivier, »powitałyby radośnie godzinę, w któréjby mnie na rusztowaniu ujrzano. Ale dość tego — każ osiodłać konie — tu mi duszno — wyjadę na świeże powietrze.«

CHWILA ZADUMY.

O, myśli moje — —
Czemuż mną wichrzycie!
Czemu z téj izby, w któréj wami stoję,
Jak z głębi gniazda rozdrażnione roje,
Jak skry palące z czeluści, lecicie!
A już w pryśnięciu łamiąc siłę swoję,
Nie biorąc ciała przez znaku odbicie,
Bez śladu życia utracacie życie!—
O, myśli moje, mrzyjcież raczéj w domu,
I cóż mnie po was i na cóż was komu,
Daremna krześba czyliż pracy warta!
Piorun w dół bije bo żąda odgromu,
Strzała tkwi w celu cięciwą wyparta,
A mojaż wami nie zatleje karta?
O, myśli moje—chociem w poniewiérce,
Choć kielich bytu przepełnion piołunem
Wypiłem do dna, bolem spalił serce,
Choć duch mój błąka w ostatniéj iskiercе—
O, myśli moje bądźcie mi zwiastunem:
Że nim grobowym otkną mię całunem,
Raz jeszcze w krwawéj mych uczuć rozterce
Zawładam wami jak jasnym piorunem!
—Daremna wzmoga w żartką skutku dolę,
Daremna natęż w przesilnéj potrzebie!
Gdy żywioł mętem zawichrzy podniebie,
Niech myśli ziarno utkwi rolnik w glebie,
Brzemienne jądro w stokłos się wykoleł.....
Nie z gnuśnéj ziemi ciężki snop w stodole.

i-n-k.

Mieszkańcy stepów Pampas.*)

Z podróży Jakóba Arago.

Niech Patagończyk podług upodobania wybierze sobie dzikiego bieguna, a w szybkiéj jeździe nie wyprzedzi go nawet straszliwy amerykański wichr, któryto zapewne niezmierzone przestrzenie Paragwai i Patagonii w stepy zamienił, ów *Pampero*, co rozdartszy żagle, i pogruchotawszy maszty, rzuca okrętami o zmulone brzegi, ów peryjodyczny orkan, którego ryk przygłusza głos ludzki, i szum spiętrzonych bałwanów.

Koń jest jedynym przyjacielem Patagończyka, tego niesfornego Centaura, który nie cierpi mieszkań ludzkich, i od nich ucieka, jak my uciekamy od puszcz bezludnych. Lecz nie... Patagończyk jeszcze innych ma przyjaciół; w wiecznéj żyjąc wojnie z pokoleniem *Gauchos* sąsiadami swémi, uzbrojony jest Patagończyk puginałem, który tkwi w pochwie u jego skórzanego bóta bez podeszew, ma arkan z wieloma guzami, pęta z kulkami i sztuciec. — Sztuciec, puginał, orkan, pęta, koń i puszcza, to jego przyjaciele—za innémi nie teskni. Choć i tygrys niespodzianie z zasadzki wyskoczy, Patagończyk się nie zlęknie. W nieustannéj walce z natura, która dziwnym i strasznym sposobem daje czuć moc swoją w téj części nowego świata, nie uchyli głowy tylko przed orkanem. Kiedy burza się sroży, przyléga do ziemi, tuli się do głazu albo do pnia potrzaskanego drzewa, i czeka spokojnie aż się wicher wyszumi i ostatnie jego świsty ucichną, a wtedy znowu wskakuje na wiernego konia, który w czasie burzy skulony, przykucznął do ziemi, przesadza najgłębsze przepaści, rzuca się w spienione potoki, przepływa je, i wzbudza echa okropnémi wojennémi krzyki, które w niecierpliwości swojéj wydaje.

Ktoż na nie odpowié? Oto *Jaguar* wyskakuje, najzwinniejszy, w chytrości i odwadze piérwszy z rodzaju tygrysów, które wyludniają Hindostan, niosą śmierć między afrykańskie karawany i zapełniają kościotrupami pustynie Ameryki południowéj. Mamy więc dwóch zapaśników—jeden

*) W południowéj Ameryce, w wielkim pół-kręgu około Buenos-Ayres. Pampas w języku Quichua, znaczy to samo co równiny.

tylko z nich będzie obiad pożywać, a tym jedynym będzie Patagończyk. Zgłodniały tygrys wnet ziemię krwią swoją napoi, a stada kruków, które już krążą w powietrzu, trzewa jego pożérać będą. Patagończyk zarzuca arkan, i krępuje niémi nogi tygrysa, który upada, wtedy nieprzyjaciel rzuca się nań, uderza w serce, i wnet go płata i piękną niezwalaną skórę jak łup zwycięzki unosi, i w Buenos-Ayres lub Montevideo na przedaż wystawia, lecz wprzód musi sobie obiad przygotować. Uderzeniem stali o krzemień zapala czér, znosi chrust z krzaków, które niszczący powiéw wiatru wysuszył, chwyta je ogień, płomień się wzbija, Patagończyk swoim puginałem wycina polędwicę albo łopatkę zabitego tygrysa, rzuca ją w żar, tu się piecze, gdy poczernieje, on jeszcze na pół surową, ręką albo ostrzem puginału wyjmuje z płomieni jadło i pożywa. Nad jego głową w gęstych kręgach unosi się ptactwo drapieżne, czekając na prawa myśliwskie — ich krzyki zagłuszyłyby szum wodospadu, który w przepaść się rzuca.

Nasyciwszy się, trzeba się napić. Ale gdzież znaleźć zdrój, wodospad, rzékę, albo przynajmniéj kałużę? Niewolnik ją wyszuka dla swojego pana, koń do niéj Patagończyka zawiedzie. Kilka słów do niego przemówił, koń słucha, potém spina się, kopytami bije ziemię, nadyma i ściąga na przemian nozdrza, głęboko odsapuje obracając się w koło, nakoniec zatrzymuje się w pewnym kierunku. W téj stronie będzie pewnie źródło albo rzéka. Patagończyk zarzuca koc na grzbiét wiernego towarzysza, siada nań, uwiązawszy za sobą skórę tygrysa, i pędem wiatru ujeżdża, nie myśląc o tém co zostawia.

Do dziś-dnia obiad Patagończyka składa się z czystéj wody źródłowéj i żyłowatego tygrysiego mięsa. Czasem téż dzieje się przeciwnie, że tygrys pożywa Patagończyka, i z niego nie wiele zostawi sępom i czarnym orłom zachodnich Kordyllerów.

I Gaucho także żywi się mięsem tygrysa, ale częściéj końskiém, którego i dostać łatwiéj i jest soczystsze. Gaucho podobnie jak Patagończyk, żyje na koniu, którego sobie śród Pampas wychował i ułaskawił bez uzdy, bez wodzy, tylko wzrokiem, głosem i siłą pięści. Gaucho poluje na tygrysa dla skóry, na strusia dla piór, które przedaje europejskim okrętom przybijającym do Montevideo. Na strusia potrzeba tylko zręczności i pośpiechu. Ile zimnéj krwi i odwagi wymaga polowanie na tygrysa, już z powyższego wnieść można opisu, a téj obudwóm pokoleniom nie braknie. Raz Gaucho zszedł się w kawiarni w Montevideo z Patagończykiem i wyzwali się na większość odwagi. Oba udali się na puszczę i przez próżność okazania się pogromcami dzikich źwiérząt, narażali życie na niesłychane niebezpieczeństwa. Jeden tylko wrócił do swojéj rodziny. Byłto Gaucho.

Ledwie wyjedziesz za cmętarz leżący o ćwierć mili od Montevideo, już jesteś na puszczy. Ale Gaucho rzuca się w stepy przytykające do niezmierzonych lasów, które się zaczynają w Brazylii, tu kończą, i ciągną wzdłuż pasma ziemi, która przed wiekami może było korytem rzéki. Patrz! ziemia zatrzęsła się — słyszysz huk walącéj się lawiny, nieprzejrzana chmura pyłu powstaje i dzień zaciemnia. Tę lawinę tworzą myrijady dzikich koni, których ród utrzymuje się mimo zawziętéj wojny, jaką mu europejczycy i krajowcy wydają. Gaucho chce jeść. Arkan ma przypięty sprzączką do kawałka skóry, która mu służy za siodło, i jest pod brzuchem konia, silnie ściągnięta. Gaucho dzikim krzykiem dodaje sobie ochoty, okiem z przelęknionego stada wybiéra swoją żertwę — zarzuca arkan, dzikie stado pędem ucieka, jeden koń zostaje uwięziony, ujęty za szyję i nadaremnie usiłuje na wolność się wyrwać, bo wiérzchowiéc Gaucha wszystkie siły natęża, aby konającego brata zatrzymać. Ale czemuż na jeden obiad zabijać konia? To pytanie zadał sobie i Gaucho, i dla tego opatrzył się w pęta, obciążone kulami. Te zarzucą na nogi już ujętego konia, którego obalą; wtedy Gaucho usiada na spętanéj zdobyczy spokojnie, wycina mu pieczenię z lędźwi, popuszcza potém pęta, i wraca wolność skaléczonému koniowi, który rżąc boleśnie, ucieka.

Suche zioła i chrusty służą do upieczenia mięsa, a jeźli przy takiéj uczcie noc zapadnie, Gaucho wyciągnie się na ziemi, obwinięty w *poncho*, to jest okrągły kawał pilśni z wycięciem na środku dla wystawienia głowy, zaprasza wierzchowca aby się przy nim położył; ten posłuszny jego rozkazom, przylęga, ale ciągle wietrzy, nadsłuchuje czy się tygrys nie zbliża — czasem oprze głowę na ubiélonych kościach braci swoich, które drapieżne sępy i kruki w puszczy zostawiły. Pod tak czujną strażą myśliwiec bezpiecznie usypia, ale sen jego nie trwa długo, bo tęskni do nowych niebezpieczeństw i nowych zwycięztw. Jeżeli śmiały tych okolic mieszkaniec dostanie się do Montevideo albo Buenos-Ayres, wtedy sobie skromne na puszczy pożywienie wynagradzając, zasiada na ławce, jé mięso wołowe, sardele, rzodkiéw, cébulę, trochę czostku i dość smacznie czystą wodą popija. — Strawności po uczcie na puszczy, jakąśmy wyżéj opisali, dodaje prócz życia czynnego nie tylko wycie wichru Pampero, który drzewa z korzeniami wyrywa i ryk jaguara, który się bronić umié zębami,

pazurami i skokiem tak silnym jak rzut wodospadu, ale tę strawność jeszcze wzmagają ulewy okropne, które wiatr południowy na te niezmierne stepy sprowadza.

Nie mamy wyobrażenia burzy, któréj huk w tych równinach tysiączne odbijają echa, jakby głos zagniewanego Boga. Na dole u widnokręgu pokazuje się ledwie dostrzeżony punkt czarny, wznosi się w górę, rośnie, rozszérza i zdaje się być przyciśniony własnym ogromem, który się w groźnym majestacie coraz daléj pomyka. Ziemię oświéca blady mrok, morze przybiéra barwy nie pewne, wre w sobie ale bałwanów swoich nie posuwa i zdaje się czekać końca walki, która następuje. Na lądzie duszne gorąco odejmuje władzę członkom, choć słońce nie przypiéka. Żaden się listek nie ruszy, żaden pyłek nie wzbije—szelest wietrzyka nie przerwie grobowéj ciszy—wszystko jest nieruchome i jakby martwe. Błysk nagły przerzyna gęste masy nad głowami wiszące—grzmot w górze zapowiada, że z tamtąd ma lunąć nawała dészczu — a w koło nié ma się gdzie schronić — ani lasu ze sklepieniem gałęzi i liścia, ani drzewa z potężnémi konary i pniem ogromnym, ani muru wzniesionego ludzką ręką, ani skał, ani pagórków—bo cała Patagonia jest równiną płaską, potoczystą, bez wyniosłości, bez jaru, bez przerwy.

Strzeżcie się! grube krople zaczynają padać, jakby poprzedniki gniewu bożego. Patagończyk ucieka, albo raczéj instynkt wierzchowca niesie go na miejsce suchsze, twardsze — tu koń zatrzymuje się z rozwartémi nozdrzami, a głową spuszczoną, złowieszcze, ciche jęki wydając. Nie ulękniony jeździec zapomniał już o tygrysach, pętach i kulach, okrycie głowy obwiązuje mocno pod szyją, chowa głowę i twarz pod *poncho* i siada pod brzuchem wiernego konia. Teraz rozwiérają się wszystkie zapory nieba. Nie krople szybkością strzały spadają z obłoków, ale jedna nieprzerwana masa wody leje się bez ustanku, jak gdyby Ocean swoją paszczę otworzył, jak gdyby go ręka boża na głowy wylała. Orkan tę masę wody w różne strony porusza, tak, że powstają bałwany jak na morzu.

Oto są przyjemności Patagonii. Widzę czytelniku, żem ci dodał ochoty do zwidzenia tego błogiego kraju. Okręt od brzegu odbija; wsiadaj nań, płyń! To nie daleko, tylko 3000 mil! Dobréj drogi — i szczęśliwego powrotu!

Mieszkańcy Bononii na operze.

Kto chce poznać obyczaje i charakter niższych klas ludu, niechże się im przypatrzy na publicznych zborach, a gdzie mniéj publicznego życia, najlepsza sposobność do tego w teatrze. Jeszcze po-dziś dzień tkwi w mojéj pamięci teatr bonoński. — Dnia 12. października roku 1832, ogłosiła sławna śpiéwaczka Malibran Garcia, że się da słyszéć na scenie. Na to ogłoszenie zaczęła publiczność tłumem cisnąć się do teatru i już na kilka godzin przed rozpoczęciem sztuki zapełniła salę, która jeszcze oświetloną nie była. Spokojnie i w milczeniu siedział parter w pociemku i z natężeniem oczekiwał spetaklu. Lecz nie tak spokojnie zachowywała się galeryja, gdzie dawała się czuć potrzeba, aby światło z góry spuszczono. Podobnie jak szemrzący potok leśny, zamieniony po długiéj ulewie w rwący strumień spada na dół z łoskotem, tak téż pojedyńcze głosy i głuchy pomrok ludu zamienił się w dziki, zawiły, uszy przerażający chór, podobny bardziéj do grzmotu Olimpu, niż do tonu ludzkich głosów. A gdy zaczęło się podwajać po obszernéj sali rozlégające się echo, wsparte strasznym hukiem i stukiem najżywszych gestów, mniemałbyś, że się chwieją węgły teatru, i że Tytanowie na głowę parterowi spadnął długo opiérał się obskurantyzm czyli raczéj oszczędzający światło liwerant, żądaniu rozhukanéj tłuszczy. Nakoniec Prometej otworzył lukę, a spaniale spuściły się w promiennym blasku lampiony rzęsiste, które publiczność najżywszym okrzykiem radości jako wschodzące słońce powitała. Atoli łatwiéj napełnić wodą rzeszoto Danaidek, niż znarowione dzieci zaspokoić! Ledwo, że zadowolono ich oczy, a już zaczęły ich uszy zadowolenia żądać. Wznowiono więc jeszcze mocniejszy zgiełk i hałas, ale nadaremnie; muzycy (*profesori*), jeszcze nie przybyli. Wszelako galeryja domagała się koniecznie rozrywki, żądała muzyki, muzyka musiała się koniecznie dać słyszéć, a że jéj nie było na dole, więc się ozwała z *raju*. Jakoż z niemałém podziwieniem mojém niespodzianie dał się słyszéć z *lubbione*, to jest z pomienionéj galeryi, złożony z wielu głosów znany chór z *Korsarza* Belliniego i nie źle się wydawał. Próbę tę przyjęła publiczność z niewymownym zapałem, tak, że ją improwizatorowie powtórzyć musieli. Gdy i to się skończyło, a sztuka jeszcze się nie zaczęła, począł lud groźniejszym sposobem okazywać swą niecierpliwość. Znudzony, gotów był co chwila dopuścić się ostateczności, aż oto szczęściem jeden z tłumu wpadł na dobrą myśl i zapiał jakby prawdziwy kogut. Grzmiące oklaski, które go spotkały, były dowodem, że w myśl ludu trafił. Za jednym razem zaczęło dwu-nożne, czworo-nożne, kosmate, rogate, szczeciaste i piérzaste zwiérzę ryczéć, beczéć, skomlić,

miauczyć, wyć i warczyć w największej zgodzie razem z głuszącém klaskaniem w ręce. Gdybyś nie wiedział, że to są Bonończyki, myślałbyś w saméj rzeczy, że zgromadzenie to tknięte rószczką czarodziejską, do swojéj piérwiastkowéj siedziby, to jest do arki Noego się przeniosło! — Gdy uszy moje przebyły tę okropną czyścową próbę, przyszła nareszcie pożądana godzina, a przyjemne, łagodne i pieściwe tony sławnéj śpiewaczki, wynagrodziły mnie sowicie za poniesioną męczarnię; przyczém w hołd prawdy i to dodać muszę, że piérwsze czułe tony téj lubej śpiewaczki na uspokojonéj nagle tłuszczy, takież same sprawiły wrażenie, jak niegdy lutnia Orfeja na straszydłach piekielnych.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 17. i obejmuje: 1) Jak najlepiéj suszyć koniczynę? 2) O niektórych szczegółach sparaliżowania jagniąt. (Dokończenie). 3) Uwagi nad artykułem pana J. Żywickiego. O sposobie uchodzenia zaciérów gorzelnianych, przyrządzenia sztucznego fermentu i t. d. 4) O różnych sposobach wytapiania rudy. (Dokończenie). 5) Wiadomości czasowe.

Rozpasanie życia rodzinnego we Francyi, a z tąd wynikłe zaniedbanie w wychowaniu dzieci przez matki, spowodowały przed kilku laty pana Aimé Martina do napisania wybornego dzieła o obowiązkach matek. Pan Aimé Martin wystąpił przeciw przesadzonym ideom emancypacyjnym St. Simonistów. Celem jego było wykazać kobiétom prawdziwe ich powołanie, które jedynie ich ducha zaspokoić może. Objawione w tém dziele zasady przejęła angielska autorka, i przyswoiła do stosunków rodzinnych i do wychowania w własnym narodzie. I w Anglii do edukacyi dziéwcząt, zakradła się była ta szkodliwie na narody działająca dążność, iż więcéj uważano na talenta powiérzchowne, jak na prawdziwe rozwinięcie umysłu. Chociaż tam świętości związków rodzinnych więcéj przestrzegano, niż w Francyi, przecie w życiu dawał się uczuć brak dokładniejszego macierzyńskiego wychowania. Nie spuszczając z oka dzieła Aimé Martina; Angielka bardzo trafnie kréśli silny wpływ matek na dzieci. Nie przepomina i złych skutków, jakie sprowadza zaniedbanie macierzyńskich obowiązków. Dzieło téj Angielki przełożyła teraz na język francuzki Polka, pani Trembicka, autorka *Pamiętników* i wielu innych pism. Swą pracę poświęciła księżnéj Giedrojć. Takim sposobem dzieło to doczekało się już drugiego wydania. Zdrowe zdania o przeznaczeniu kobiét, i jasny zrozumiały wykład, zasługują na powszechną uwagę, a płynny francuzki przekład p. Trembickiéj, czyni go dla nas jeszcze przystępniejszym. Dzieła tego: *Mission de la femme*, można nabyć w księgarni p. Milikowskiego.

Nowe odkrycia w Posilipo. *Diario di Roma* z dnia 5go b. m. ogłasza list neapolitańskiego nadinżéniera Bersani, do znanego archeologa i papiézkiego komisarza starożytności w Rzymie, kawalera Visconti, z Neapolu 12go marca pisany, z którego wyczytujemy: »Kopanie odbywa się teraz na najdalszym pagórku Posilipu, który jak wiadomo, dla antykwarza, historyka i poety, równie ważne zamyka zabytki i wspomnienia. Przechadzając się po pustéj teraz okolicy Posilipu, ku Wschodowi i Niside, postrzegłem raz przypadkiem wystający z ziemi kawał kanelowanego słupa. Ten widok połączony z dawnemi archeologicznemi i historycznémi uwagami nad naturą téj okolicy, zabytkami starożytności, i że tak powiém siécią murów okrytej, naprowadziły mnie na przekonanie, że tu kopiąc, możnaby natrafić na ciekawe dzieła sztuki. Przedsięwzięte według zrobionego zaraz przezemnie rysunku kopanie, wydało owoce godne zająć uwagę każdego miłośnika sztuki, a szczególnie Rzymianina, gdy ta okolica należała niegdyś do Lukulla (Plutarch zwie go: *Xerxes togatus*), jak nas przekonywa przyległa grota, za spaniałą pomocą JKMści Obojéj Sycylii świeżo odkryta. Późniéj była własnością Vedia Polliona. Sąsiedztwo miejsca zwanego Gajola dowodzi, że tu stać musiała najpyszniejsza z wilów, przez zdobywców świata wzniesionych. Spaniały teatr, o połowę większy jak w Pompei, naprzeciw tego Odeon, jakiemu tylko w Katanii równe znaleźć było można — szczątki przysionka z kolumnami na brzegu morza, które każą się domyślać dalszéj, jeszcze nie odkopanéj budowli — sala, która była *tridinium* albo kościołem, nakoniec wodociąg podziemny, świadczący o dawnéj wielkości Rzymian — oto jest, cośmy dotąd odkryli. Jeźli te odkrycia monumentalne są nową ozdobą dawnego miasta Gracyj, niemniej wartości mają także znajdowane codzień przy kopaniu marmury, a między témi posąg w połowie wielkości człowieka, bez głowy i rąk, w dniu 18. stycznia wykopany. Na piérwsze wejrzenie trzeba go uznać za dzieło jednego z najpiérwszych rzeźbiarzy greckich, a jeźli go porównamy ze znajdującą się teraz w Londynie płaskorzeźbą z Partenonu, nie będzie za śmiałém twierdzenie, że to jest dzieło Fidyasza — tak podobny jest układ fałdów, i tak szczytna cała robota. Niemniéj pocieszająca jest uwaga, z jaką gorliwością témi odkryciami nowemi, zajmują się uczeni mężowie u steru rządu będący, którzy wraz z monarchami swoimi przypominają nad Tybrem piękne czasy Leona X., a nad Sebetem Karola III.«

Francyja liczy obecnie 306 parów, z których 112 przed rewolucyją lipcową mianowano. Jest tam w ogóle 99 jenerałów czyli wyższych oficerów wojska lądowego i marynarki, 36 sędziów, 25 dyplomatów, 20 członków instytutu i 24 byłych lub dotychczas w służbie będących prefektów. Inni są właścicielami dóbr lub członkami rady departamentów i płacą rocznie 3,000 franków podatku.

Członkowie akademii francuzkiéj. Jakkolwiek wielu najznakomitszych mężów Francyi było członkami akademii francuzkiéj, o którato godność wszyscy uczeni francuzcy ubiegają się; wszelako wielu jest również sławnych mężów, którzy członkami jéj nie byli, do tych należą: Descartes, Scarron, Pascal, Molière, kardynał w Retz Larochefaucault, Bourdaloue, Bayle, Mallebranche, Hamilton, Rollin, J. B. Rousseau, Le Sage, d'Ayuesseau, Saint Simon, Latouche, L. Racine, La Grange, Prevost, Malfilatre, Helvetius, Biron, J. J. Rousseau, Dorat, Mably, Diderot, Bertin, Raynal, Beaumarchais, Rivarol, Desforges, Tronchet, Servan, Berryer i Beranger.

O wściekliźnie i leczeniu jéj. Nieraz słyszymy o przypadkach, że wściekły pies pokąsał ludzi, którzy z tąd najokropniejszą śmiercią pomarli. Niejaki pan Schepeler oświadcza w jedném z pism publicznych, że nie jest lekarzem i nie myśli dawać przepisów lékarskich, ale dla dobra ludzkości ma sobie za powinność ogłosić niektóre własne doświadczenia, któreby może na drogę zupełnego léczenia téj straszliwéj choroby naprowadzić mogły. Wścieklizna pojawia się tylko u takich zwierząt, które się nie pocą, jak n. p. u psów, wilków, kotów i t. p. i węże podobnież się nie pocą. Przytoczę tu kilka przykładów wyléczenia wścieklizny. — W Madrycie r. 1819 lub 1820 zdarzyło się,

że wściekły pies pokąsał kilka osób, które okropnie pomarły, wyjąwszy jednę służącą, która przypadkiem ocaliła swe życie. Za pojawieniem się wściekłości zamknięto ja w izdebce pod dachem, tam była mierzwa, a na pułapie wisiał wieniec czostku. Chora miotając sobą, szczekając i wyjąc aż do późnej nocy, uciszyła się nareszcie, a nazajutrz zaczęła wołać słabym głosem aby jéj otworzono, zapewniając, że jest zdrowa, a przytém głodna i spragniona. Otworzono drzwi i zastano ją w saméj rzeczy uspokojoną, lecz bardzo słabą, a suknie jéj były potém przesiąkłe. Opowiadała ona, że gdy ją wściekłość napadła, zaczęła grzyźć czostek, i że go mnóstwo zjadła, poczém wystąpił na nią wielki pot, a w końcu na kilka godzin zasnęła. — Na kilka lat przedtém wydarzył się takiż sam przypadek w Alikante. Chorą dziewczynę zamknięto tam podobnież na strychu, gdzie było wielkie gorąco, a przypadkiem był także i czostek, który wściekła pacyjentka jadła. To zaczęło ją mocno piec wewnątrz, poczém spociła się, zapadła w sen i wyzdrowiała. — Węgrzyn Kowacz, którego sposób leczenia wścieklizny ogłosiły niedawno pisma publiczne, dodaje do swego lékarstwa także znaczną dozys czostku. — Znany jest także sposób pana Magendzie, zalewania rany kwasem siarczanym, ale tylko pokąd rana jest świéżą. A gdyby téż na sposób pana Kowacza albo czostkiem (może extraktem czostku) lub innemi jakowémi środkami, które womity i pocenie się sprawiają, wściekliznę léczyć spróbowano?

Smok gorzałczany. Pan J. L. Schmidt w Altonie, wydał niedawno litografowany obraz, który nietylko ze względu sztuki, ale nawet dla swego chwalebnego zamiaru na wzmiankę zasługuje. Obraz ten zowie się: *Smok gorzałczany*, brzuch i głowa jego mają formę kotła, ogón zwija się w węża, a całość przedstawia aparat do destylowania. Po prawéj i lewéj stronie umieszczone są smutne wizerunki, przedstawiające widok bałwochwalstwa, do którego ten potwór ludzi skusił. Po lewéj ręce rąbią ludzie lasy i czyszczą pola dla napełnienia rozwartéj paszczy tego potworu, który miasta i kraje chłonie, a po prawéj ręce wytryska z niego jad trawiący. Mężczyźni i niewiasty, starzy i młodzi, wszyscy są upojeni. W głębi widać mord i zabójstwo, łzy i rozpacz, a zaraz przy nich wznosi się okropnie szubienica i koło, na które się kruki zlatują. — Przyznać musimy, iż artysta starał się wszystkie okropne skutki wynikające z opilstwa, w najszkaradniejszém świetle przedstawić.

Szkodliwe skutki maku. W szpitalu przeznaczonym dla położnic w Paryżu, zgotowała piastunka dla dziewięciorga niemowląt makówkę w mléku, w zamiarze, aby po wielu bezsennych nocach nie przerywano jéj spoczynku. Jakoż wkrótce po zażyciu tego mléka, pozasypiały dzieci, a piastunka czekając na zawołanie, położyła się w sukniach na łóżku, ale jakież nie było jéj zdziwienie, gdy przebudziwszy się ze snu, spostrzegła, że już był dzień biały, a dzieci jeszcze spały. Wtedy myśl przemknęła jéj po głowie, azali dzieci nie pomarły. Z przestrachem pospieszyła do domowego lékarza, oznajmując mu swój nieprzezorny postępek. Przez spieszne użycie środków lékarskich, przywrócono ośmiorgu dzieci życie; lecz dziewiąte, słabowite, dopiero przed 30 godzinami urodzone niemowlę, zasnęło na wieki.

Czas obiadu. Na początku XVI. wieku jadano obiad o godzinie dziesiątéj, o godzinie zaś czwartéj wieczerzę, po któréj jeźli sprzyjała pogoda, udawano się na przechadzkę. Późniéj odłożono obiad na godzinę jedynastą z-rana. W wieku XVII. jadano obiad o godzinie dwunastéj a wieczerzę o godzinie szóstéj. Po dworach i znakomitych domach, zwoływano gości dzwonem do obiadu; przed przyjściem do stołu, umywano sobie ręce, a po skończonym stole powtarzano téż samę czynność w przyległym pokoju. Jeźli gospodarz domu chciał zaszczycić którego z gości, nalewał mu w swój własny puhar wina. Przodkowie nasi spijali liczne zdrowia i byli tego zdania, że dla utrzymania tegoż zdrowia, koniecznie choć raz na miesiąc porządnie upić się trzeba; teraz zaś przeciwnie się dzieje, teraz Prysznic dla utrzymania zdrowia, każe garncami pić wodę, a sam, jak słychać, za znaczną sumę, jaką z wodnéj kuracyi uzbierał, stawia w swoich dobrach Weissbach i Hanenberg, gorzelnie i browary.

Samobójstwo na kolei żelaznéj. W Koswig, stacyi na kolei żelaznéj z Berlina do Köthen, Kampfwinkel, dozorca kolei, zbiwszy i pokaléczywszy w szale zazdrości żonę, przez wyrzuty sumienia i obawę skutków, postanowił odebrać sobie życie. Koło 7méj wieczorem, właśnie kiedy powozy z Köthen do Berlina na kolei przechodzić miały, wziąwszy z sobą dziewięcio-letniego synka, udał się na koléj, i oddając mu zegarek, mówił do niego: »Weź go sobie; mnie już nic nie trzeba, bo ja szukam śmierci i znajdę ją wnet pod kołami lokomotywu«—i to rzekłszy, położył się na szynach. Daremnie błagał i łzami się zaléwał chłopczyna, obawa jego rosła — jeszcze kilka minut, a ojciec będzie zgubiony! Rozpacz podała mu myśl, pobiedz pędem do najbliższego na kolei dozorcy i o niebezpieczeństwie go uwiadomić, aby telegrafem ostrzegł i zatrzymał nadchodzące powozy. Ledwie przybył zadyszany na miejsce, już słyszy huk zbliżający się. Nie mając chwili do stracenia na słowa, przytomne dziecię z szybkością pioruna chwyta sznur od telegrafa, ale dozorca biorąc to za swawolę dziecięcia, odtrąca go — a w mgnieniu oka pędzą powozy, gruchocą i rozgniatają ojca! Dyrekcyja kolei żelaznéj wzięła sierotę na wychowanie i swoim kosztem kazała go uczyć mechaniki.

Szewc dumny. Pewien modniś paryzki zwidził niedawno Medyjolan. Nie zaopatrzywszy się licznym obuwiem, zmuszony był udać się do jednego z tamtejszych szewców, dla zamówienia sobie nowych butów. Zalécono mu bardzo zdatnego majstra. Modniś uśmiechnął się, a przyszedłszy do rzemieślnika, rzekł do niego: »Jest mi to bardzo nieprzyjemnie, że tu buty zamawiać muszę, ale potrzeba przynagla mnie do tego. Prawda, że tu nie znajdę paryzkiéj roboty — zróbże wpan jak możesz najlepiéj.« Szewc zarumienił się wstydem i nie odrzekłszy ani słowa, wziął miarę. Po kilku dniach przyniósł jeden but, jak mówił, na próbę. Francuz wzuwa i przypatruje się formie: »Przewybornie! Na honor! Jak w Paryżu robiony. Tegobym się był po wpanu nie spodziéwał!« Szewc prosi, aby mu pozwolił zdjąć but z nogi. Staje się zadość jego woli. Ale jakże się nie zdziwił modniś, gdy ujrzał na nodze swojéj nową ciżemkę do tańczenia, która wewnątrz buta ukryta była. »Wpan jesteś zawołanym artystą! mój panie, zdziwiłeś mnie swoją robotą«, rzekł modniś, »kiedyż drugi but otrzymam?« — »Drugi but dla porównania z tym, każ sobie wpan zrobić w Paryżu«, odrzekł ozięble szewc i oddalił się z pokoju.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.